

Świat według Ciumka cz. 5

Podobno tym razem przegiąłem na poważnie.

Ale się nasłuchałem! Przy okazji nauczyłem się nowych słów, ale sądząc po reakcji i minie mojej pani, chyba nie nadają się do umieszczenia w felietonie.

A było to tak...

Spokojnie sobie kimałem na tylnym siedzeniu w samochodzie, zakopany pod swetrem, jak poczułem, że coś się dziwnie kołysze. Było nawet przyjemnie, dopóki nie ryknęła muzyka.

Ale się wystraszyłem!

No więc, ziewnąłem i polazłem do przodu, żeby się przywitać. Moja pani prawie dostała zawału, po czym, tocząc pianę, zadzwoniła do pana, żeby mu powiedzieć, że durny Ciumek jedzie razem z nią, i że musi zawrócić z trasy!

W sumie trochę szkoda, że nie obudziłem się w łodzi. Wtedy dopiero byłoby fajnie. Jeszcze nigdy nie nocowałem w hotelu. Nie byłem też w radio ani w telewizji, a tu zmarnowała się taka okazja, żeby zyskać rozgłos w mediach i na dobre zakotwiczyć w świecie celebrytów. Trudno, następnym razem zadekuję się lepiej. Nie ma lekko.

Co ja poradzę, że od małego mam parcie na szkło? Najwyższa pora wyjść wreszcie poza Internet, tymczasem pozostaje mi facebook, blog i apka na telefonie.

Czasem, jak jestem bardzo grzeczny, moja pani daje mi swojego smartfona, żebym mógł pograć sobie w MYSZ. Polega to na tym, że mysz piszczy, biega za serem i trzeba ją złapać. Niestety to nie takie proste, bo ona biega gdzieś pod spodem. Jeszcze nie rozkminiłem, jak się tam dostać, ale za to prawie się nauczyłem odpalać tę mysz. Wiem, że trzeba nacisnąć łapką na

„game”, niestety potem są reklamy i tego już nie ogarniam. Poza tym lubię też jak rozlega się dzwonek telefonu. Biegnę wtedy odebrać, ale pani mi nie pozwala, twierdząc że najpierw trzeba przeczytać, kto dzwoni. A ja umiem przeczytać tylko „mouse” i „game”.

Na wypadek jakbyście jeszcze nie wiedzieli, na otarcie łez, pani założyła mi konto na Instagramie. Mam tam całe mnóstwo kumpli z całego świata. Już całkiem fajnie się tam połapałem, a moje wpisy mają więcej serduszek, niż wpisy mojej pani 😊

Ktoś powiedział, że jestem medialny, ale ja bym poszedł dalej i rzekłbym, że jestem oczko wyżej.

KOT MULTIMEDIALNY brzmi zdecydowanie lepiej.

Od pierwszych dni, nieustannie, fascynuje mnie laptop. A szczególnie to miejsce, z którego leci ciepłe powietrze. Lubię tam zalegać i przy okazji gapić się w ekran z nadzieją, że moja pani się ulituje i puści mi jakiś filmik o kotach na YouTube. Lubię je oglądać, szczególnie te, gdzie miauczą, choć wietrzę tu jakąś ściemę. Niby są, a ilekroć zaglądam na tył, żadnego kota tam nie ma. Przecież to niemożliwe, żeby kot był taki płaski!

Dobrze, że na co dzień przynajmniej mam Szajbę, którą można potarmosić, choć ostatnio na mnie warczy jak stara ciotka i nic tylko prosi naszego pana o żarcie, a upasła się tak, że jak siedzi to jej brzuch leży przed nią na podłodze. Wprawdzie twierdzi, że to przez hormony i że ja też kiedyś przytyję, ale jak na razie jestem raczej z tych dłuższych i w dodatku raczej „fit”, a ostatnio wszyscy komplementują mój wyjątkowo puszysty ogon.

Zatem sami przyznacie, że potencjał jest, a ja regularnie, choć powoli, zyskuję na popularności. Dostaję nawet prezenty. Niedawno dostałem pluszaka, który bardzo chciał mnie poznać. Początkowo się zdenerwowałem, że to jakiś mój wypchany kuzyn,

ale na szczęście się okazało, że jednak nie i nawet można gościa czasem bezkarnie pomemlać.

Tak więc widzicie, że w moim życiu wiele się dzieje. Przedwczoraj rzuciłem na podłogę storczyka, wczoraj rozwaliłem w iment składkę jajek, a dziś pani mnie obsztorcowała, że za późno przyszedłem ją obudzić. Ale ja wcale nie chciałem jej budzić! Ja chciałem tylko pokimać pod kołdrą. Jakieś totalne nieporozumienie..

To pisałem ja!

Ciurek Memlok von Frontz V

Śpiewać (nie) każdy może

A zwłaszcza ja.

Znów miałam w nocy piękny sen. Stałam na scenie i śpiewałam. Tak totalnie, na cały głos. Pełną piersią. Wspaniałe uczucie, jak ten cudowny głos wychodził gdzieś z głębi. Dosłownie czułam go w trzewiach. Widocznie mocno wczułam się w ten sen, bo jeśli wierzyć relacji męża, emitowałam jakieś makabryczne jęki potępieńcze i wszystkich obudziłam.

No i tyle mojego.

Na marzenie o śpiewaniu mogę się łąpać tylko we śnie, ponieważ na żywo mam zakaz. Ech, żeby to jeszcze było jakieś dziedziczne i można było zwalić na geny, ale nie. Świętej pamięci dziadek robił za baryton w Chórze Juranda i w słynnych Rewelarsach, mama śpiewała u Muniaka, a tata, w czasie studiów, z sukcesem przygrywał do kotleta na sopockim Monciaku.

A tu taki niewypał się urodził. Całkowicie upośledzony wokalnie.

Jeszcze w dzieciństwie mama próbowała coś ze mnie wycisnąć, w nadziei że głos da się jakoś wytrenować, niestety mojego się nie da. Ja wiem, że niektórzy okropnie fałszują, ale to co ja robię wymyka się wszelkim definicjom. Do tego pokarało mnie podwójnie, bo przy tym mam absolutny słuch, tylko co z tego, skoro nie potrafię wydusić z siebie nawet jednego poprawnie czystego dźwięku? Nawet nie śpiewam „Sto lat!”.

Panie od muzyki zawsze myślały, że ja udaję i pałowały mnie równo. Kiedyś zaliczyłam nawet niedostateczny na koniec roku, ale mnie jakoś za uszy wyciągnęli, bo chyba nie ma takich cudów, żeby przy przyzwoitej średniej nie przejść przez pałę z muzyki 😊

Pamiętam też pewne zdarzenie sprzed lat, kiedy to dyrektor mojego liceum wymyślił sobie szkolny chór. Ogłoszono termin przesłuchań. Rzecz jasna nikt nie był głupi i każdy z nas wolał robić inne, dużo ciekawsze rzeczy niż kandydować na śpiewaka, wobec czego na spotkaniu nie pojawił się nikt. No to dyrektor wziął się na sposób i kazał każdemu wychowawcy wytypować do chóru po cztery osoby z klasy. Oczywiście padło też na mnie. Jako że zawsze trzymały się mnie różne wygłupy, wychowawca od razu mimo uszu puścił moje żarliwe zapewnienie, że ja NAPRAWDĘ nie umiem śpiewać. No, gorzej już wdepnąć się nie da. Cóż było robić? Trzeba było zacisnąć zęby i iść na przesłuchanie. Jak żywą, pamiętam pomalowaną na wściekły zielony groszek aulę. A swoją drogą to ciekawe, że po dziś dzień szkolne lamperie nadal występują w dwóch jedynie słusznych kolorach. Właśnie ten urywający gałki oczne groszek, ewentualnie coś w różnych odcieniach brudnego pomarańcza. Ale zostawiając kolorystyczną dygresję na boku, to w tej auli, na scenie, siedział łysy gość i z zapałem brzdąkał gamę na pianinie, które nie wiedziało co to stroiciel, a wokół podpierało ściany kilkudziesięciu znudzonych skazańców.

Zacząło się. Gość już na początku ustalił, że ci, co się nie nadają, mają stawać po prawej, a ci dobrze rokujący, po lewej. Ależ to były emocje. A największe były wtedy, kiedy przy moim trzecim podejściu do śpiewania ten łysy nie wytrzymał ciśnienia i wywalił mnie za drzwi ☐

Zatem sami widzicie, że temat śpiewania spędza mi sen z powiek od dawna i jak widać, to nawet we śnie, kiedy to spędza sen z powiek również i moim domownikom.

Jakiś czas temu wpadłam na świetny pomysł, że będę śpiewać w samochodzie. Muzyka na pełny regulator tak, żebym się nie słyszała i opór decha! Ileż to razy wracałam z chrypką, a mąż myślał, że na wyjeździe bałowałam po całości. Przez jakiś czas działało, dopóki wraz ze zmianą zajęcia nie zmienił się cel moich podróży. Ostatnio wszystkie moje wyjazdy związane są głównie z gadaniem, a przecież rycząc wraz z Rammstienem na trasie Kraków- Wrocław można stracić głos wielokrotnie.

Nie ma lekko. Dobrze, że chociaż istnieje vocaler 😊

Polskie drogi 2

Jak to zwykle bywa w dłuższej podróży, dziś również, po paru godzinach jazdy naszły mnie podróżne przemyślenia. Wsiadając do Babowozu zwykle myślę, że w drodze nic sensownego nie wymyślę, a tu, nie wiadomo kiedy, rusza myślowy ciąg i nie można go zatrzymać.

Dzisiaj na ten przykład, naszło mnie przy hot-dogu. A konkretnie wtedy, jak przy jakiejś nierówności na asfalcie wpakowałam sobie do nosa keczup z musztardą ☐

Szybkie żarcie to zdecydowanie nie moje klimaty, ale w sumie to nie podróżuję znów aż tak często, żeby sobie odrobinę nie pogrzeszyć. Poza tym, w trasie trzeba czasem skorzystać z toalety, a jednym z nielicznych miejsc, które trzymają przyzwoite standardy czystości jest McDonald's. W sumie, przy okazji taki wrap lub bułka z mielonym, popita ohydną, niezdrową i tuczącą colą również w większości krajów trzymają mniej więcej taki sam standard. Wiadomo czego się spodziewać, więc ten właśnie bar szybkiej obsługi jeszcze do niedawna był moim pewniakiem. No właśnie, do niedawna, kiedy to przymuszona pilną potrzebą zajechałam do ich odwiecznej radomskiej placówki. Skoncentrowana na czymś zgoła innym, nie dostrzegłam zaparkowanych nieopodal dwóch autokarów. Kolejka do kasy co najmniej na pół godziny i taka sama długa do toalety. Zrezygnowałam. Nie miałam aż tyle czasu □ Drugi, niefortunny i na domiar złego już kolejny z rzędu raz, trafił mi się na trasie Wrocław-Kraków. Tam spryciarze dla niepoznaki wprowadzili system numerków. Otóż, uradowana, że jest jeszcze przed jedenastą i załapię się na przedpołudniowe menu z pysznym wrapem z pieczarkami i serem, w ciemno zajechałam na miejsce. Zero kolejki do kasy, więc złożyłam zamówienie, zapłaciłam i dopiero wtedy spojrzałam na numerek. 37 miejsce w kolejce oczekujących na realizację zamówienia! Myślałam, że mnie szlag trafi. I to ma być bar szybkiej obsługi? Jaja jakieś...

Obraziłam się zatem na Maca i przeniosłam me podróżne uczucia właśnie w stronę hot-dogów ze stacji benzynowych. Nieczęsto robię sobie przerwy w trasie, bo zawsze jest mi szkoda tych samochodów, które już wyprzedziłam, a że wyprzedzam praktycznie cały czas, to mam czego żałować, więc to rozwiązanie wydało mi się jeszcze lepsze niż poprzednie 😊

Ale nic to. Wróćmy do rzeczonych hot-dogów. Nawet je lubię. Poza tym nie trzeba na nie długo czekać i dają się zjeść w czasie jazdy, więc i tych powtórnie wyprzedzonych jest zdecydowanie mniej, natomiast dziwi mnie zaobserwowana przy

tym pewna prawidłowość. A raczej dwie. Po pierwsze zawsze, ale to ZAWSZE muszę upaprać się keczupem. Jak nie pociapię sobie musztardowo-keczupową breją na ubranie, to umażę sobie twarz i na serwetce zostaje mi połowa makijażu. Wiem, wiem, zaraz mi ktoś powie, żeby nie jeść w trakcie jazdy, ale wiecie, zawsze człowiekowi szkoda tych pierwej wyprzedzonych, no i na postoju też zawsze się brudzę 😊

Drugą sprawą, która nie daje mi spokoju, jest fakt, że sprzedawcy również ZAWSZE, ale to absolutnie bez wyjątku, najpierw podają człowiekowi hot-doga, a dopiero później wydają resztę. A jak ja mam schować resztę do portfela jedną ręką? Mam sobie wetknąć tę bułkę do gęby, czy jeszcze gdzieś indziej, czy jak? Innego sposobu nie ma, by się przy okazji nie pobrudzić, ewentualnie nie upuścić wykeczupowanego hot-doga na podstawkę do wydawania reszty i pobrudzić także i ją, co raczej jest rzeczą pewną, więc nie rozumiem dlaczego sprzedawca nie może najpierw wydać reszty, a później wręczyć klientowi zamówienie. Ktoś może powiedzieć, że on też chce mieć wolne ręce, by móc wydać resztę i właśnie dziś usłyszałam takie tłumaczenie, bo już nie wytrzymałam i zapytałam. Trochę to dziwne, że w ślad za sprzedawcami lodów, nikt nie wpadnie na to, żeby postawić na ladzie choćby zwykły kubek z logo stacji, żeby na czas płacenia i wydawania reszty wszyscy mieli wolne ręce 😊

Jak widać, na pewne rzeczy wpływu człowiek nie ma, a przecież tak wiele drobiazgów nas wnerwia.

Ja nie wiem jak to jest, ale za każdym razem, jak wlewam płyn do spryskiwacza, to na dnie baniaka zostaje mi resztką płynu. Tak, jakby nie można było zrobić tych baniaków o pojemności 3,7 litra. W ten prosty sposób uszczęśliwionoby wielu kierowców, którzy od razu po nalaniu płynu, wywaliliby pusty pojemnik do kosza, a nie zastanawiali się co z nim zrobić. Odkąd sięgam pamięcią, jeszcze nie zdarzyło mi się jeździć autem – a było ich grubo powyżej dwudziestki – żeby nie

została mi resztką tego płynu 😊

Na koniec muszę wspomnieć jeszcze jedną, absolutną samochodową prawidłowość. Nie znam na nią patentu, więc może ktoś z Was ma jakiś sposób bym poczuła się lepiej. Nie oczekuję nawet odpowiedzi, jak temu zaradzić, ale będzie mi miło i poczuję się raźniej, że nie tylko ja tak mam. Tu pomijam ostatnie zdarzenie, kiedy to na podziemnym parkingu w galerii handlowej pękła rura kanalizacyjna, oczywiście bezpośrednio nad moim samochodem, bo mnie takie sytuacje po prostu lubią, ale chciałam zapytać o owady. Czy u Was też zawsze największy owad roztrzaska się żółtym plackiem na szybie, centralnie na wysokości Waszych oczu? Czy podniszczona guma od wycieraczki pierwszą smugę zostawi również w tym samym miejscu (nawet bez żółtych zwłok owada), tak jakby pierwsza nie mogła się wystrzepić wycieraczka po stronie pasażera? Przecież one zużywają się tak samo. A może nie? Może to jakieś wyłącznie moje osobiste fatum? Pojutrze znowu trasa, ale tym razem już wiem, o czym znów dla Was napiszę, ale skoro zima już przyszła, to szerokości i przyczepności Wam życzę 😊

Iza